

Sekretne życie Kuraka

Kurak to miał u nas dobrze. Wstawał skoro świt, piał pod balkonem, robił obchód budynku, po czym dreptał w okolice trzepaka, gdzie miał bufecik. Codziennie wjeżdżały nowe smakołyki. Ktoś podsuswał mu sałatkę z buraka, ktoś nęcił niedojeżdżonym tuńczykiem, na deser zostawały ananasy i sezamki. Resztę dnia spędzał, grzebiąc w okolicznych krzakach, przechadzając się – niby od niechcienia, na luzaku, choć w gruncie rzeczy bliskie mu były porządek i mir domowy. Takie patrole kończyły się na rzuconiu groźnego spojrzenia wilczurom z sąsiedztwa, ewentualnie sprzeczką z parkomatem, który z jakichś przyczyn zawadzał mu w osobistym rozwoju. Kogut, jak wiemy, swoją dumę ma i nie pozwoli na tanie zaczepki.

Sielskie tygodnie, jakie wiódł Kurak nad Białuchą, przeżywane były raz na jakiś czas interwencjami krewkich współobywateli. Biegano za nim z siatką na motyle i podbierakiem, próbowano otruć zepsutą wędliną, a strażnicy miejscy przygotowywali zasadzkę za zasadzką, lecz wszystko na darmo. Obławy kończyły się fiaskiem tak żalnym, że każda kolejna próba schwytania Kuraka coraz bardziej przypominała skecze Monty Pythona w stylu „how to confuse a cat”. Dezorientowanie zresztą szło nie najgorzej; w apogeum tych praktyk rzucono kogutowi wielki sekator z nadzieją, że zrobi nim sobie jakąś krzywdę. Nie trzeba dodawać, że z nadzieją płonną: podziobane nożyce szybko trafiły na złom.

A jednak duża część z nas polubiła Kuraka. Towarzyszyliśmy mu w codziennych rytuałach, urozmaicając jego marszruty, do tego ukradkiem robiliśmy sobie wspólne zdjęcia – może mniej

w stylu Włodzimierza Puchalskiego, a bardziej Zofii Rydet czy Joanny Helander, gdyby więcej czasu spędzały na dokumentowaniu chwil z życia zwierząt. Wystarczyło na moment odciągnąć jego uwagę od paprochów rozspanych wzdłuż krawężnika, dać mu jakieś niezobowiązujące zadanie, takie jak próba aportowania patyka czy bieg slalomem między drzewami, i już coś się zmieniło w jego mimice, piórka przy dziobie stroszyły się, grzebień to pęczniał i fioletował, to flaczał jak galaretka; wprawdzie koguty nie uchodzą za atrakcyjnych modeli, lecz ten przeczył temu mniemaniu. Każdy portret zdradzał mocną osobowość.

Jego biografia była pełna dramatycznych zwrotów akcji, tego byliśmy pewni. Jak każdy osobnik po przejściach, Kurak zjawiał się pewnego dnia jak gdyby nigdy nic, raz-dwa się zaadaptował, przywykł na tyle, żeby nie bać się otoczenia, a równocześnie nie utracił swojej dzikiej natury. Zręcznie manewrował między naszą chęcią do niesienia pomocy a wymogami niezależności. Niby kogut w środku miasta mógłby stanowić zagadkę, wywoływać lęki czy nawet prowokować trudne do zwalczenia odruchy oporu, ale my wiedzieliśmy, że przez lata na terenie nadrzecznych ogródków działkowych w pobliżu żyły kury; zdarzyło się, że część z nich wywieziono w niewiadomym kierunku. Inne wylapały służby. Najwyraźniej Kurak przetrwał obłędnie i, gdy zrobiło się spokojniej, porzucił kryjówkę, obierając sobie za bezpieczną przystań przydomowy ogródek nad rzeką.

Inna rzecz, że Białucha, która meandruje sobie pośrodku Krakowa, zanim wpadnie do Wisły, ma w sobie coś z dziczy. Wystarczy wieczorem zejść na brzeg i przespacerować się kilometr czy dwa, a trafiają się nie tylko bobrze stolówki w postaci obgryzionych w olówki drzew i krzewów, lecz i same bobry, grube jak telewizory z lampą kineskopową, tak zajęte rutynowymi czynnościami, że można przez nieostrożność nadepnąć im na ogon. Oczywiście, należy to stanowczo odradzić, bóbr znany jest z kategoriycznych sprzeciwów i wielkich siekaczy. Nieco dalej można się natknąć na szperającą w nadrzecznych zaroślach wydrę, która mało się nami przejmie, jeśli będziemy dostatecznie cisi i nie będziemy próbować jej przytulić. Każdy, kto czytał książki Adama Wajraka, wie, jak inteligentnym, ale i cwany zwierzęciem potrafi być wydra. Przytulasy w mgnieniu oka mogą się skończyć pokąsaniem, a na pewno kąpielą w zimnej, choć wcale nie głębokiej toni.

Kurak musiał dzielić tę przestrzeń także z puszczykami, dzięciołem, który walił z zaciekłością Muhammada Alego w okoliczną latarnię, a nawet z pluszczem, który powinien był siedzieć w jakimś górskim rezerwacie, a wołał przemieszczać

się tam i z powrotem nad lustrem Białuchy, wślizgując się raz po raz pod wodę i łapiąc larwę chruścika, rybkę albo inny przysmak wspanialszy – bo rzadszy – od gumiaka i resztek z palet styropianu. Pewnie byłby nieprzejednany wobec kormoranów, gdybyśmy mówili o zimie; zimą bowiem wpływały one ze skutej lodem Wisły do jej dopływów w poszukiwaniu łatwego kąska. Nie miały dobrej prasy. Toksycznym guanem zabijały cały ekosystem, drzewa wysuszając na wiór, do tego drenowały rzeki ze wszystkiego, co nie zdążyło umknąć ich żarłocznym dziobom. Im nawet jednoosobowy oddział terytorialsów, za który chętnie uchodziłby Kurak, dać odporu nie byłby w stanie.

Jego niepowtarzalność, początkowo chętnie podkreślana przez wszystkich komentatorów, z czasem zaczęła rodzić pytania. Z jednej strony nie chcieliśmy wmuszać mu kurzego towarzystwa, bo nie byliśmy pewni, czy jego nagłe pojawienie się w naszej okolicy nie było spowodowane niesnaskami w tym czy innym stadzie; po diabła nastęrczać mu dodatkowych napięć? Z drugiej jednak strony asystowaliśmy mu dzień w dzień, żeby odgonić samotność, która tylko czaiła się za winklem, by czepić się go swymi drapieżnymi mackami. Znane nam były obiegowe opinie o kogutach: że są indywidualistami, ale lubią błyszczeć na salonach; że odznaczają się lojalnością, choć potrafią odplacić pięknym za nadobne; wreszcie że nie znoszą wścibstwa, ale jeszcze bardziej – braku zainteresowania. Byliśmy świadomi wagi problemu i nie zamierzaliśmy wpierać Kurakowi naszej wizji jego dobrostanu.

Niemniej każdy kontakt z nim utwierdzał nas w przekonaniu, że coś wisi w powietrzu. Któraś z akcji nadpobudliwych, w większości samozwańczych stróżów prawa mogła przecież się powieść, skończyć się pojmaniem koguta lub poważniejszym uszczerbkiem na czyimś zdrowiu. Nie warto było do tego dopuszczać. Usiłowaliśmy delikatnie wy badać nastawienie Kuraka. Czy jest zadowolony z turnusu nad Białuchą, czy bierze pod uwagę przenosiny w miejsce częstszego występowania ptaków z gatunku *Gallus gallus domesticus*, czy po prostu wybrał inną drogę, drogę asymilacji w realiach innego gatunku, który co prawda ma na sumieniu całą gamę obrzydliwych czynów wobec jego współbraci i współsióstr, ale gdy zajdzie potrzeba, umie zdobyć się na gest wspaniałomyślności wykraczającej poza ciągle przywoływane w takich razach atawizmy. Mimo że przykładaliśmy się do tych obserwacji, osiągnęliśmy niewiele konkretów. Oblicze Kuraka pozostawało tak samo nieprzeniknione jak pierwszego dnia, gdy piał nam o świecie pod balkonem.

A jednak coś zaczęło się psuć. Po kilku tygodniach pogodnej koegzystencji do naszego ekosystemu zakradł się niepokój. Ileż

w końcu można dreptać tymi samymi ścieżkami wśród chaszczy, ilu rozbisurmanionym psiakom utrzyć nosa, ile staruszek nieomal przyprawić o zawał, wyskakując na nie zza krzaka? Raz, że nuda podgryzłaby każdego, a co dopiero tak wytrawnego globtrotera, za jakiego mieliśmy Kuraka. Dwa – Białucha Białuchą, pluszcze, bobry i gonitwy wiewiórek po drzewku dzikiej róży bywają zajmujące, natomiast czy mogą ci zastąpić świat cały? Cknić się zaczyna za ułomkami choćby swobody, bezkresne przestrzenie mrugają do ciebie w snach, nawołuje wiatr przygody, co wieje, gdy mu się przypomni o tym, że hen, za górami, za lasami, skarbów na pęczki; gdzie dziobnąć, tam cymes. Tam pianie niesie się na dziesiątki kilometrów, a grzebień łni w słońcu jak najpiękniejszy bursztyn.

Kurak odszedł w szary wiosenny dzień, jeden z wielu w tej szerokości geograficznej. Gawrony siedziały równie nieobecne jak zazwyczaj, za to jedna ze srok domagała się szczególnej uwagi, bo znalazła porzuconą kartę telefoniczną. Tak, to był czas kart telefonicznych, telefonicznych żetonów i budek, w których wiły sobie romantyczne gniazdka wróble, sikorki i inne ptaki nie większe od kciuka, choć to nieprawda: wszystkie ptaki są większe od kciuka; ci, co mówią inaczej, są wrednymi kłamcami, no chyba że chodzi o kciuk słonia albo mamuta włochatego, to co innego. Nad rzeką lasowały krzyżówki, polykając stare bułki równie żarłocznie jak hipopotam, którego widziałem w chorzowskim ZOO. Miał wielkie, kołkowate zęby. Do jego paszczy można było wrzucać całe bochenki chleba, a jemu nie chciało się nawet mrugnąć powieką.

„Było i nie ma – śmieszne, prawda?” – zauważa bohaterka *Dnia wielkiej ryby* Andrzeja Barańskiego, choć nie o Kuraku jest to opowieść, lecz o młodości, która zniknęła, gdy smacznie spaliśmy, którą straciliśmy, a mimo to gonimy z wywieszonymi jęzorami, żeby schwycić byle skrawek; do której rytualnie wracamy, chcąc uczepić się jakiegoś ledwo widocznego drobiazgu. Której żalujemy, ale nie umiemy zapomnieć. Pozostaje nam jedynie jej imię, co rośnie w gardle jak gula. Tak, to zupełnie inna opowieść.